

M. STAWISZ.

GORACZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

27

I.

— Kraków, to taka prowincjonalna dziura — myślał, zaciągając się dymem doskonałego cygara, — człowiek kichnie, a na drugi dzień całe miasto wie już o tem! A przecież mnie się należy trochę rozrywki, dosyć się już naharowałem, niechże teraz użyję choć trochę.

Najwięcej go zaciekały nocne kabarety, o których tyle się nasłuchiwał od Rudzkiego, starego bywalca i konesera wybrednych zabaw męskich. A że od najmłodszych lat Gawlik nie mógł sobie pozwolić nawet na porządną kolację poza domem i najskromniejszą znajomość uboczną, tem bardziej teraz, kiedy już nic nie stało mu na przeszkodzie, zapragnął całą duszą zakosztować tych wszystkich tajemniczych uciech, o których dotąd marzyć w cichości mu było tylko wolno.

Kiedy pociąg nad ranem gwiżdżąc i dysząc kłębam pary, wpadł na dworzec w Warszawie, Gawlik był tak oszołomiony przeżyciem nocnymi nadziejami i zamieszaniem, panującym wokoło, że nie zauważył, iż dwóch mężczyzn w towarzystwie sztywnie ubranej kobiety, oczekiwało już na niego.

Dopiero gdy jeden z nich podszedł do niego i ujął go za ramię witając go radośnie, Gawlik cokolwiek oprzytomniał.

— A to pan, panie Herman — zawołał, uradowany ze spotkania. — Dobrze, że pan tu jest, bo nie wiem, co mam robić ze sobą... ta nieprzespana noc... obce miasto...

— Wszystko już dla pana przygotowane i zamówione, panie Gawlik, — odparł uprzejmie wysoki, szczupły brunet o wybitnym semickim typie. — Nie chciałem, aby pan narzekał na gościnność naszą w Warszawie i z przyjaciелеm i moją żoną sam przyszedłem powitać pana zaraz na wstępie. Iza — pan Gawlik, mój serdeczny przyjaciel i znajomy z Krakowa, — zwrócił się do młodej kobiety, obserwującej pilnie zdaleka Gawlika.

Gawlik był wniebowzięty. Ledwie wyszedł z pociągu, a już miał sposobność poznać jedną z tych sztywnych, osławionych Warszawianek, o których się tyle nasłuchiwał. A ci agenci! Co za uprzejmi, znający lepsze zwyczaje ludzi! Z takimi, to aż miło robić interesy. — Uśmiechając się, jak mógł najwdzięczniej, uściśnął małą, odzianą w wytworną rękawiczkę rękę młodej kobiety i przywitał się ze współnikiem pana Hermana, grubym, rysawym blondynem.

— Zamówiłem dla pana pokój w Bystolu — oznajmił pan Herman, biorąc go poufale pod ramię i prowadząc do wyjścia. — Będzie tam panu doskonale. Tam zajeżdżają tylko ludzie z najlepszej sfery towarzyskiej. Ty, Emil, zajmij się rzeczami pana, a my wyjdziemy poszukać doróżki. Odwieziemy pana Gawlika do hotelu, a potem pójdziemy razem na dobre śniadanie.

— Chciałbym się trochę przebrać, — wrócił Gawlik, zażenowany tylu dowodami uprzejmości — bo w tej sualecie, w towarzystwie dam...

— Oczywiście, oczywiście — zaśmiał się dobrodusznie pan Herman. — Obok swojego pokoju ma pan tam gabinet do przyjmowania gości, więc tam poczekamy z Izą, aż się pan odświeży i wyelegantuje. Poświęcamy już ten cały dzień dla pana, bo przecież nie możemy pana puścić samego, skoro pan miasta nie zna. Jeszcze by pan wpadł w jakieś niepożądane ręce, bo o to w dużych miastach nie trudno.

W jakiś czas więc później Gawlik w nowym garniturze od najlepszego krawca w Krakowie, świeżo ogolony, odmłodzony, z błyszczącymi nerwowo podnieceniem oczami, rozkoszował się w towarzystwie uprzejmych swoich znajo-

mych, doskonałym i wybrednym śniadaniem w jednej z najbardziej osławionych restauracji warszawskich.

Humory wszystkich były doskonałe, podirymane bezustannie starem, ciężkiem winem, które do reszty upoiło Gawlika.

Po śniadaniu, którem nie mówiono wcale o interesie, który go sprowadził do Warszawy, Gawlik, odprowadzony przez swoich usługowych przyjaciół, udał się do hotelu, aby odpocząć trochę przed obiadem, który miał ich znowu połączyć razem.

Przy pożegnaniu pani Iza, tak znacząco i czule uściśnęła jego rękę, że Gawlik, rozgorączkowany już dostatecznie obfitem śniadaniem, uczuł, że zaczyna się z nim dziać coś niezwykłego. Krew gorącą falą buchła mu do skroni, mgła jakaś przebiegła przed jego oczami i gdyby nie obecność towarzyszy, nie odstępujących go na krok, byłby bez namysłu pocałował w ramiona tę piękną kusicielkę, wabiącą go płomiennym wzrokiem czarnych oczu i uśmiechem mocno czerwonych ust, wzywających pocałunku.

— Ah! psia krewo! — westchnął ciężko, kiedy

Gawlik, którego dwugodzinna drzemka po śniadaniu przyprowadziła trochę do równowagi umysłu, teraz znowu zaczął zapadać w stan oszołomienia, dochodzącego chwilami do zupełnego zaniku przytomności.

Zamglonemi oczami wpatrywał się to w jedną to w drugą sasiadkę, bo zaraz na początku obiadu umieszczono go pomiędzy obydwoma paniami i plótł niestworzone rzeczy, podniecany głośnymi wykrzyknikami słuchających i kieliskami wina, które bez miary wchłaniał w siebie. Raz tylko jeden, przy deserze, pod naporem trzeźwiejszej jakiejś myśli, zapytał siedzącego naprzeciwko niego pana Hermana o stan wspólnych ich interesów, ale ten zbyt go dobrodusznym, uspokajającym uśmiechem i słowami:

— Ależ kochany panie, na wszystko czas mieć będziemy! Niechże pan sobie teraz nie nabija głowy interesami. Dziś dzień poświęcony jedynie zabawie, aby godnie uczcić przybycie kochanego pana do Warszawy — a jutro zabierzemy się do spraw poważniejszych.

— Ale ta sacharyna jest jeszcze do nabycia — zapytał, wytrącony trochę z równowagi tą odpowiedzią Gawlik.

— Ależ oczywiście, oczywiście, ile tylko pan zechce. No, nieprawda, Emil, że pan Gawlik wspaniale zarobił na tej sacharynie może.

— Wiadomo, — uśmiechnął się drugi współnik, który dotąd mało rozmawiał, lecz za to jadł i pił za trzech. — Pan tu robi taki interes, jaki jeszcze nikt nie zrobił.

— A to pozwolenie na przywóz, — zahazardował jeszcze Gawlik — bo wiecie panowie, nie chciałbym wpaść w jakiś konflikt z władzami. U mnie interes musi być czysty i pewny.

— Oh! o to, niech się pan nie niepokoi — pośpieszył z gorącym zapewnieniem pan Herman. — Wszystko jest już przygotowane, w porządku, towar tani, pozwolenie, tylko porfel wyjąć i zapłacić. Przecież pan wie, że pan ma ze solidnymi kupcami do czynienia.

— Ah! moi panowie — wtrąciła się z grymasem zniecierpliwienia pani Iza, pochylając nisko ułożoną głowę w stronę Gawlika — ktoś mówi o interesach przy kobietach!

— I przy tak pięknych jeszcze — szepnął zupełnie już rozbrojony Gawlik, całując ją czule w rękę. — Ma pani słuszość! Należy się nam porządna bura od pań za ten nie-taki! Ale naprawimy to zaraz!

Uniósł kieliszek do góry i zawołał z gorącym przejęciem, patrząc w zalotne oczy swojej sasiadki.

— Na zdrowie najpiękniejszych z Warszawianek!

I tak był pod wrażeniem chwili, że nie zauważył ironicznych uśmiechów i porozumiewawczych znaków, zamienionych pomiędzy panem Hermanem a piękną panią Izą, ani rzuconych szeptów słów przez

jej przyjaciółkę, rudowłosą Mełę, w stronę milczącego zawzięcie drugiego współnika.

— No, ten to już gołowi! Będzie z nim łatwa sprawa!

Słowa te przyjął pan Herman głośnym wybuchem śmiechu, zacierając z zadowoleniem ręce, na których lśniły ciężkie pierścienie z brylantami.

— Musimy ułożyć teraz dalszy nasz program — odezwał się po chwili, obejmując znaczącym spojrzeniem panią Izą. — Co robimy zresztą wieczoru? Warto by jeszcze pójść się gdzie zabawić, jak pan myśli, panie Gawlik. Nie ucho- dzi nawet w Warszawie iść spać o zbyt wczesnej godzinie.

— Oczywiście, oczywiście — przytakiwał Gawlik, który mało co rozumiał z tego, co do niego mówiono. — Ja się zgadzam na wszystko! W takim miśle towarzystwie, to choćby do piekła!

— Idźmy jeszcze do „Czarnego Kota“ — proponowała pani Iza. — Pan nie zna jeszcze kabaretów warszawskich — prawda? Warto widzieć. Będzie pan miał o czym opowiadać za powrotem do Krakowa.

(Ciąg dalszy nastąpi!)



Zamglonemi oczami wpatrywał się to w jedną, to w drugą sasiadkę.

się znalazł sam, w hotelowym pokoju. — Rudzki miał słuszość! Te Warszawianki to isne szafany. I w stuletnim starcu krew by rozpalic potrafiły! Ta pani Iza wcale nie wydaje się być cnotą nie do zdobycia. Żebym to mógł choć na chwilę uwolnić się od tych jej antiołów stróżów. Ubiłbym w Warszawie od jednego razu dwa doskonałe interesy.

Tymczasem Gawlik, wdychając coraz ciężiej i przyskajac jak koń, zanurzył całą głowę w miednicy pełnej zimnej wody, bo czuł, że wino wypite przy śniadaniu i ogniste spojrzenia pani Izy, doprowadzić go mogły do niepożądanego w tych warunkach migreny i zakłócić nasrój wieczorny, po którym wiele sobie obiecywał.

Obiad przeciągnął się bardzo późno. Pani Iza, która spóźniła się na oznaczoną godzinę, przyszła w towarzystwie przyjaciółki swojej, młodej rozwódki, bardzo wesołej, zdradzającej wiele temperamentu i sprytu.

W gabinecie, zamówionym już poprzednio przez usługowego pana Hermana, ogłuchnąć można było od wesołych wybuchów śmiechu, głośnej rozmowy i strzelających co chwila korków od szampana.